

Pierre Alexis
de Ponson
du Terrail

Rocamboles

**KLUB
SŁUG SERCA**
część trzecia



**Tom
5**

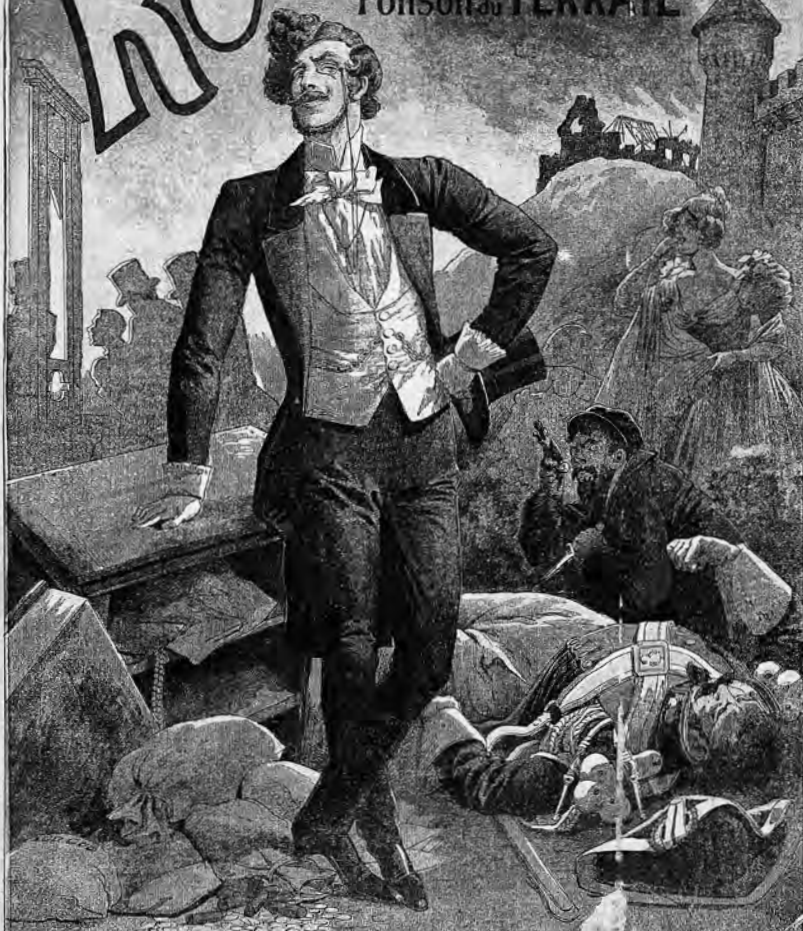


Ruda Śląska 2020
ISBN 978-83-66268-22-7 (całość)
ISBN 978-83-66268-57-9 (część piąta)

LES DRAMES DE
PARIS

ROCAMBOLE

PAR
Ponson du TERRAIL



GRATUITEMENT

De Numéro doit être distribué

Roc. N° 1

Publications JULES ROUFF & C. 4, Rue de la Vrillière, PARIS (1^{re})

N° 1

Pierre Alexis de Ponson du Terrail

Rocambole



Klub Sług Serca

część trzecia



Pierre Alexis de Ponson du Terrail

Pierre Alexis
de Ponson
du Terrail

Rocambole

Klub Sług Serca

część trzecia



Przełożył
i przypisami opatrzył
Andrzej Zydorczak

Wydawnictwo
JAMAKASZ
Ruda Śląska 2020

*Siedemdziesiąta dziewiąta
publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ*

*Piąty tom kolekcji
„Rocamboles”*

Tytuł oryginału francuskiego: *Le Club des Valets-de-Cœur*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2020

21 ilustracji, w tym 18 kart tablicowych kolorowych: Louis-Charles Bombled,
Paul Kauffmann, Désiré Quesnel (wg Wydawnictwo Jules Rouff, Paris 1894)

Redaktor kolekcji: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Kinga Ochojska

Skład: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2020

ISBN 978-83-66268-22-7 (całość kolekcji)

ISBN 978-83-66268-57-9 (tom 5)



Wydawnictwo JAMAKASZ

www.jamakaszk.pl

e-mail: jamakaszk2013@gmail.com

tel.: 32 340 21 42, 531 094 758

Ruda Śląska 2020

Rozdział LII

Na przechadzce



Młody hrabia Artoff poprzedniego dnia wyszedł od Baccarat ogarnięty wielkimi emocjami. Przyszedł do niej jako Don Juan uzbrojony milionami niczym talizmanem, wychodził poskromiony, upokorzony, głęboko wzruszony majestatycznym smutkiem tej wspaniałej kobiety, która – jak mu się wydawało – została w tak okropny sposób oczerniona.

Baccarat ukazała mu się nagle jak jakaś tajemnicza istota, której tłum nigdy nie zrozumie. Byłaby to odczuwająca skruchę winowajczyni? Miała by to być jakaś ponura mścicielka, której ramię uzbrajało się w cieniu, aby karać i ścigać bez wytchnienia jakichś występnych zbrodniarzy?

Hrabia nie potrafił tego odgadnąć, ale siłą rzeczy wierzył w jedną z tych dwóch hipotez, domyślając się, że ta kobieta miała przed sobą jakąś ważną misję do spełnienia.

Wrócił do siebie, pogrążony w różnych najsprzeczniejszych myślach.

Czyżby już kochał tę kobietę, do której wszedł jak zdobywca? Może jednak czuł do niej tylko nagłą i pełną szacunku przyjaźń, zdolną do największych poświęceń? Nie był w stanie rozstrzygnąć tych ostatnich pytań, tak jak rozwiązać dwóch wcześniejszych.

W nocy źle spał. Baccarat pojawiała się mu we wszystkich snach. Widział ją to błakającą się wraz z nim pośród pustyni, to wciągającą go w jakiś wir i zamęt, to przybierającą najdziwaczniejsze kształty i przemawiającą do niego różnymi językami.

Kiedy nastał dzień, młody Rosjanin nadal nie potrafił określić, jakiej natury było jego uczucie, które pociągało go ku tej kobiecie, czuł jednak nakazującą potrzebę ponownego zobaczenia się z nią.

Przecież poprzedniego dnia, opuszczając go, powiedziała: „Będę oczekiwała pana jutro ze śniadaniem o dziesiątej”.

Wychyliwszy głowę z łóżka, hrabia z rozpaczą dojrzał, że zegar na kominku wskazywał zaledwie ósmą. Mimo to wstał, dokonał porannej toalety, a zobaczywszy, że pozostaje mu jeszcze dużo czasu, kazał osiodłać jednego ze swoich koni, zdecydowany spędzić godzinę na przejażdżce po Lasku Bulońskim. Zapomniał przy tym, że pan de Manerve również oczekiwał go ze śniadaniem.

Hrabia mieszkał w ładnym pałacyku przy ulicy de la Pépinière, prawie na wprost domu z numerem 40, gdzie Cherubin miał apartament i gdzie pani Malassis zajmowała pawilon w głębi ogrodu. Przy pałacyku, który kazał wybudować hrabia, znajdował się wielki ogród, otaczający obie strony głównego korpusu. Na końcu ogrodu architekt postawił pawilon, nad którym wznosił się wysoko w górze belweder¹. Z tego belwederu rozciągał się widok na dachy sąsiednich domów i ogrody. Tym sposobem można było łatwo zobaczyć, co się działo w ogrodzie domu noszącego numer 40, to znaczy okolicę pawilonu pani Malassis.

Powyższe szczegóły topograficzne są nam niezbędne do zrozumienia dalszego ciągu naszej historii.

Hrabia jechał konno przedmieściami de Roule, potem Polami Elizejskimi, a pędem objechawszy Lasek Buloński, powrócił zewnętrznym bulwarem i zatrzymał swego ociekającego potem wierzchowca przed pałacem Baccarat równo w chwili, gdy na pobliskich zegarach wybijała dziesiąta.

Przybiegł groom, by otworzyć mu bramę i odebrać konia. Potem wprowadził go do salonu, który już znamy i gdzie przed dwoma dniami pani Charmet oczekiwała na Turquoise.

Hrabia usiadł na sofie i oczekiwał z niepokojem. Wkrótce ukażała się Baccarat.

Na jej widok wydał okrzyk zdumienia i podziwu, tak wydawała się mu promieniejąca i piękna. Miała na sobie poranną, świeżą toaletę: niebieską suknię, na pół odsłaniającą ramiona, które ozdabiała jedna srebrna bransoletka z angielskim słowem w formie epigrafu²; jej piękne włosy, jak niegdyś, opadały kręconymi splotami. Była

¹ *Belweder* – tu: nadbudówka nad najwyższą kondygnacją pałacu, zwykle z tarasem.

² *Epigraf* – w starożytności i średniowieczu napis umieszczany na pomnikach, nagrobkach, rzeźbach, w późniejszych czasach wszelkiego rodzaju dewiza czy godło; także krótki urywek jakiegos dzieła literackiego, zdanie lub wiersz, umieszczone przez autora np. na wstępie własnego utworu w celu uwypuklenia głównej myśli (motto).

spokojna, uśmiechnięta, w niczym nie będąc podobną do owej poważnej, smutnej kobiety, którą poprzedniego wieczora hrabia widział w gabinecie.

Podąła mu rękę na powitanie.

– Dzień dobry, mój przyjacielu – powiedziała. – Jesteś punktualny jak kochanek.

– Ponieważ nim jestem – odparł z miłą szczerością.

– Zatem twoja stara przyjaciółka uleczy cię z tej śmieszności – rzekła, całując go w czoło, a następnie z odcieniem wspaniałej melancholii dodała: – Jesteś szalony! Nie kocha się stulatak...

– Och, jesteś jeszcze młoda i piękna – zawołał z entuzjazmem.

– Jednak moje serce jest już zbyt stare na miłość.

Potem, jakby chcąc złagodzić ostrość tych słów, dodała:

– Lecz jest jeszcze młode na uczucie przyjaźni. Chcę zostać twoją przyjaciółką, ponieważ jesteś szlachetny i dobry.

Usiadła obok niego i trzymając go za rękę, mówiła dalej:

– Porozmawiajmy trochę... Porozmawiajmy jak prawdziwi kochankowie, skoro wobec świata nimi jesteśmy... Powiedz mi, co będziemy dzisiaj robili?

– Wszystko, co zechcesz – z uległością dziecka odrzekł hrabia.

– Przede wszystkim pozwolisz, że zaoferuję ci śniadanie?

– Och, na Boga! – wykrzyknął młody Rosjanin. – Baron de Manerve także na mnie czeka!

– Ze śniadaniem?

– Tak.

– Zatem napisz do niego. Siądź przy tym biurku, weź pióro i pisz. Hrabia posłuchał i chwycił za pióro.

Wówczas Baccarat podyktowała mu znany nam bilecik, jaki pan de Manerve odczytywał godzinę później w kawiarni swoim przyjaciołom. Potem, jak również to sobie przypominamy, dodała swój własnoręczny dopisek, po czym złożyła list, wsunęła go w kopertę i kazała hrabiemu zapieczętować go herbową pieczęcią, jaką miał między breloczkami.

Następnie zadzwoniła na grooma i poleciła mu:

– Zanieś ten list baronowi da Manerve na ulicę Caumartin pod numer 12.



Kiedy groom odszedł, usiadła obok hrabiego Artoffa.

– Mój przyjacielu – rzekła – musisz mi dowieść twego rzeczywistego przywiązania do mnie.

– Cóż mam uczynić?

– Starać się mnie jak najbardziej skompromitować.

Spojrzał na nią, zdumiony.

– Pogoda jest piękna – mówiła dalej – po śniadaniu, jak to napisałeś panu de Manerve, około południa wyjedziemy powozem do Lasku Bulońskiego, ale...

– Ale...? – powtórzył hrabia.

– Wolałabym, aby ta pierwsza przejażdżka, jaką razem odbędziemy, cechowała się pewną świetnością...

– Jak tylko zechcesz.

– Mówiono mi, że na ostatniej przejażdżce w Longchamps miałeś śliczną kaleszę.

– Wciąż ją posiadam.

– I cztery kare konie, przybrane i zaprzężone na rosyjską modłę, nieprawdaż?

– Ciągle stoją w stajni.

– Napisz więc do swego rządcy – powiedziała Baccarat – gdyż chciałabym się przejechać tą kaleszą.

– Dobrze – odparł hrabia. – Kalesza podjedzie tu przed południem.

Baccarat wraz ze swym młodym towarzyszem zjedli śniadanie w małej jadalni pełnej kwiatów i rzadkich krzewów, po czym pozostawiając młodzieńca przy filiżance kawy i pudełku *puros*, poszła się przebrać.

Punkt o dwunastej przybyła zaprzężona po rosyjsku kalesza. Chwilę później ukazała się Baccarat, dołączyła do hrabiego i wsparła się na jego ramieniu.

– Posłuchaj... – powiedziała do niego, chwytając go za rękę, by wsiąść do kaleszy – mam pewną zachciankę...

– Co takiego?

– Wracając z Lasku Bulońskiego, zawieszysz mnie do siebie, dobrze?

– Och, jak najchętniej! – zawołał z radością.

– Chcę szczegółowo obejrzeć twój pałac. Cóż chcesz?! Ciągle jestem trochę kobietą, a kto mówi „kobieta”, mówi „ciekawka”.



Rzuciła mu piękny uśmiech, usadowiła się kokieteryjnie w głębi kaleszy i wspaniały ekwipaż szybko ruszył w drogę.

Baccarat pragnęła jechać przedmieściami Montmartre, a następnie bulwarem des Italiens, by ukazać się przed kawiarnią „Paryż”.

Właśnie w tej chwili wychodził stamtąd baron de Manerve. Poznał służbę, konie i liberię hrabiego, a jednocześnie dostrzegł Baccarat.

– Och, do licha! – zawołał. – Oto co znaczy szybko zabrać się do roboty, zwłaszcza że do tej pory Paul i Virginie³ nigdy się nie widzieli. Zbliżył się do kaleszy.

– Patrzcie! Oto biedny Manerve! – zawołała Baccarat, wybuchając wesołym i kpiącym śmiechem.

– We własnej osobie, pani... – odrzekł baron i uklonił się jak kłania się kobiecie, która swymi ładnymi paluszkami do cna roztrwoni miliony.

Następnie, zwróciwszy się do młodego Rosjanina, powiedział:

– Drogi hrabio, pozwól, bym ci pogratulowałam...

Rosjanin przybrał zrozumiałą minę, co zachwyciło biedną Baccarat.

– Może siądziesz z nami, baronie? – zapytała, ciągle się śmiejąc. – Udajemy się do Lasku Bulońskiego...

– Dziękuję, pojedę konno.

– Zatem znowu się spotkamy?

– To bardzo prawdopodobne.

Baron już miał się oddalić, by pozwolić młodym na kontynuowanie przejażdżki, gdy przypomniał sobie o Cherubinie.

– Och, zapomniałem... – rzekł.

– O czym?

– Jedziecie do Lasku Bulońskiego?

– Tak.

– Spotkacie więc tam pana Oscara de Verny...

– Tego pana, który się o mnie założył? – zapytała Baccarat, wybuchając szalonym śmiechem.

³ *Paul i Virginie* (Paweł i Wirginia) – bohaterowie utworu Jacques’a-Henriego Bernardina de Saint-Pierre pod tym samym tytułem, opublikowanego po raz pierwszy w 1788 roku; w zamiarze autora dzieło miało być literacką ilustracją tezy, iż najgłębsze szczęście jest dostępne dla człowieka, który zerwie z cywilizacją i zacznie żyć w całkowitej zgodzie z naturą.



- Dokładnie.
- Jestem pewny, że zrzeknie się tego zakładu – stwierdził hrabia.
- Mylisz się, mój drogi.
- Doprawdy?
- Jadł z nami śniadanie i bardziej niż kiedykolwiek pragnie podtrzymać zakład, nawet na przekór twemu listowi, który mu przeczytałem.

- Czy ten człowiek jest już martwy? – zapytał hrabia, z uśmiechem spoglądając na Baccarat.

- Tak sądzę... – odpowiedziała ze spokojem, który u pana Manerve wywołał dreszcz.

Baccarat pożegnała barona poruszeniem ręki i kalesza odjechała galopem.

- Przyjacielu – powiedziała Baccarat, która znowu stała się poważna i smutna – co myślisz o człowieku, który stawia w zakład honor kobiety, chociażby ta kobieta była najniższą z istot?

- Myślę, że taki człowiek jest nędznikiem – odparł hrabia.

- Czy sądzisz, że ta kobieta, o której mówimy, mogłaby go kiedykolwiek pokochać?

- Nigdy! – odrzekł z przekonaniem hrabia.

- Ach, dziękuję ci, dziękuję! Potrzebowałam twojego potwierdzenia, aby mieć odwagę wyjawić coś więcej...

- Mój Boże! Co chcesz mi powiedzieć?

- Posłuchaj, ów Cherubin jest nikczemnikiem, którego nienawidzę i którym pogardzam. A więc chcę, aby uwierzył, że może osiągnąć swój cel, że mógłby wygrać ten haniebny zakład...

- Co...? – zdumiał się hrabia.

- To konieczne – stwierdziła Baccarat jakimś uroczystym głosem. – Kto ci powiedział, że ja nie jestem karzącą go ręką?

Młodzieniec opuścił głowę w milczeniu.

- Czyż nie tak razem ustaliliśmy – mówiła dalej – że cokolwiek zrobię, cokolwiek powiem, nigdy nie będziesz wierzył pozorom?

- Nigdy!

- Gdyby ci nawet powiedziano, że kocham Cherubina, nie uwierzysz w to?

- Nie!



– To dobrze! Masz szlachetne serce.

Kalesza szybko przejechała aleją de Neuilly, wkrótce minęła rogatkę Maillot i kilka minut później wjechała w tę aleję, na której końcu widać było jadących konno wicehrabiego de Cambolh i Cherubina.

Ten, jak to zostało już powiedziane, zatrzymał konia w poprzek drogi.

Na rozkaz hrabiego, gdy spostrzegł Cherubina, kalesza się zatrzymała. Wówczas de Verny zbliżył się, witając młodego Rosjanina i Baccarat, podczas gdy Rocambole, zatrzymawszy się w pewnej odległości, bacznie wpatrywał się w dziewczynę.

Baccarat była spokojna, uśmiechnięta, z lekko pogardliwie wysuniętą wargą. Cherubin owinał ją swoim głębokim i czarującym spojrzeniem, jednak Baccarat wcale nie straciła pełnego obojętności uśmiechu.

– Panie hrabio – zaczął Cherubin, nie spuszczać swego magnetycznego wzroku z jasnowłosej Baccarat – cieszę się, że pana tu spotkałem.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł Rosjanin zimnym tonem.

– Miałem właśnie do pana pisać – mówił dalej Cherubin – ale ponieważ pana spotkałem...

– Słucham pana.

– Wczoraj proponował mi pan zakład, jeśli dobrze pamiętam...

– Tak, panie.

– Ten zakład miałem właśnie przyjąć, gdy wicehrabia de Cambolh, mój przyjaciel...

Na to nazwisko Baccarat drgnęła i uważnie popatrzyła na Rocambole'a. Nigdy go dotąd nie widziała, a mimo to jakieś wewnętrzne przecucie mówiło jej, że ten człowiek już gra lub odegra ważną rolę w jej przeznaczeniu.

– Pan de Cambolh – ciągnął Cherubin – zwrócił mi uwagę, że nie mogę w tej chwili sobą rozporządzać. Faktycznie, tego ranka miałem do załatwienia ważne obowiązki.

– Tak? – rzekł hrabia.

– Obowiązki te już załatwiłem i obecnie jestem wolny.

– No i, panie?



- No więc mogę powiedzieć, panie hrabio, że przyjmuję zakład.
- Przyjmuje pan?
- Oczywiście.
- Lecz może pan nie wie – odparł hrabia – że osoba, o której była mowa między nami, znajduje się właśnie obok mnie, w karcie?
- Wiem o tym – rzekł Cherubin i ponownie uklonił się Baccarat.
Do tego czasu młoda kobieta milczała, jednakże teraz ogarnęła Cherubina swym jasnym, szybkim spojrzeniem, które wydawało się wnikać w głąb jego duszy. Pod naciskiem tego spojrzenia Cherubin zaczął dygotać.
- Panie – odezwała się – Stanisław wszystko mi opowiedział.
Młody Rosjanin miał na imię Stanisław, na pamiątkę swego przodka ze strony matki, która była Polką.
- Stanisław wszystko mi opowiedział – ciągnęła Baccarat – i bardzo się obawiam, że przegra pan zakład, gdyż ja go kocham.
Cherubin stał, nie okazując najmniejszego wzruszenia, przynajmniej pozornie.
- Nie kocha się wiecznie – stwierdził.
- W każdym razie – mówiła dalej Baccarat – jestem zdania, że każdy pojedynek musi odbywać się z użyciem odpowiedniej broni, a wydaje mi się, że twój zakład to pojedynek?
- Ma pani zupełną rację.
- Zatem broń z obu stron powinna być równa. Pan Stanisław przybywa do mnie, skoro mu się tylko podoba, udzielam więc i panu takiego zezwolenia. Mój dom jest dla pana otwarty.
- Och, pani... – odparł Cherubin – nie nadużyję tego pozwolenia. Pan hrabia dał mi dwa tygodnie czasu, ale ja potrzebuję zaledwie tygodnia.
- Dobrze pan mówi – rzekła zimno Baccarat. – Człowiek, który przez tydzień nie będzie kochany, nigdy nim nie będzie!
Rzuciła mu ostatnie, dziwne spojrzenie, wypowiedziała kpiącym tonem „Do widzenia” i na dany znak kareta szybko odjechała, znikając w kłębach kurzu.
Wtedy Cherubin podjechał do Rocambole’a.
- Na honor! Jeżeli ja posiadam w spojrzeniu czar uwodzenia, ona go także posiada. Ciekawe byłoby, gdybym ja został uwiedziony,





– Widać także ogrody – rzekł hrabia – na potwierdzenie czego spojrzysz na ten, co widać, który należy do domu o numerze 40 przy ulicy de la Pépinière.

sam będąc uwodzicielem... – szepnął Cherubin i wytarł kilka kropli potu spływającego mu po czole.

Podczas tego czasu kalesza hrabiego szybko okrążyła Lasek Bułoński, a wracając do Paryża przedmieściom du Roule, zatrzymała się zgodnie z życzeniem Baccarat na dziedzińcu pałacu zamieszkiwanego przez hrabiego Artoffa, na ulicy de la Pépinière.

– Zostanę u ciebie na obiedzie – powiedziała Baccarat. – Pokażesz mi swój pałacyk w najdrobniejszych szczegółach. Jestem ciekawa, chcę wszystko zobaczyć.

Oprowadzana przez rosyjskiego księcia, oglądała ten budynek godny nazwy zaczarowanego pałacu z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*⁴, na który właściciel wydał trzy miliony.

Z pałacyku przeszła do ogrodu, gdzie kazała pokazać sobie pawilon. Następnie weszła na belweder. Z tarasu tej budowli popatrzyła spokojnie na otaczające go domy.

– Stąd ma się piękny widok na kominy – powiedziała, śmiejąc się wesoło.

– Widać także ogrody – rzekł hrabia – na potwierdzenie czego spojrzij na ten, co widać, który należy do domu o numerze 40 przy ulicy de la Pépinière.

– Coś takiego – rzekła Baccarat z pewną obojętnością – nie jest to dom, w którym zamieszkuje Cherubin?

– Zgadza się.

Zadumała się. Hrabia, który ją obserwował, zobaczył, jak marszczy się jej czoło, a jej twarz powoli pochmurnieje. Nagle podniosła głowę i spojrzała na młodego Rosjanina.

– Mój przyjacielu – powiedziała – muszę cię prosić o nową przysługę.

– Jaką?

– Udostępnicz mi na nadchodzącą noc ten pawilon.

– Cóż to za dziwactwo...!

– Nie pytaj mnie o nic – dodała – gdyż nie mogłabym ci odpowiedzieć.

⁴ *Baśnie z tysiąca i jednej nocy* – zbiór około 300 baśni pochodzenia perskiego, indyjskiego, arabskiego i babilońskiego, powstały w IX-X wieku n.e. i spisano je po arabsku, bardzo popularne i tłumaczone na wiele języków, opowiadała je Szeherezada.



- Zgoda - rzekł hrabia, który obiecał ślepo jej słuchać.
Zszedłszy na dół, poprosiła hrabiego, aby pozwolił jej napisać kilka słów.

Młody Rosjanin posadził ją przy biurku na parterze pawilonu i dyskretnie się wycofał.

Oto, co Baccarat napisała do swej pokojówki:

Niech Marietta ubierze Leę, małą Żydówkę, i dziś wieczorem około ósmej przyjedzie z nią powozem na ulicę de la Pépinière do pałacu hrabiego Artoffa, gdzie jestem.

Co zamierzała uczynić Baccarat?



Rozdział LIII

Odwiedziny



Po przeczytaniu listu Venture'a markiza zadzwoniła, rozkazując za-
pręgać.

Kiedy wróciła z powrotem po rannym wyjściu, nie rozebrała się i była w wyjściowym stroju. Zarzuciwszy na siebie tylko wielki szal, pani Van-Hop wskoczyła do powozu i rozkazała lokajowi:

– Ulica de la Pépinière, numer 40. Szybko!

Gdy markiza dojechała na miejsce, uniosła się kurtyna nad nową komedią baroneta sir Williamsa, niewidzialnego improwizatora tych dramatów, które relacjonujemy i które tak się ze sobą plączą. W pawilonie wszystko było przygotowane w przewidywaniu bliskiej wizyty markizy, która nie wątpiła w nieszczęście swej przyjaciółki.

Na dole, przy schodach, pani Van-Hop przeszła przez ogród z silnie bijącym sercem, gdyż mocno się obawiała, aby Cherubin nie spostrzegł jej ze swego okna. Spotkała na dole schodów Venture'a ze smutną, posepną miną, jak dobrego sługi zaniepokojonego chorobą swej pani, który bardzo się obawia, że zostanie zapomniany w testamencie w punkcie dożywotnich rent. Pokojówka pani Malassis o imieniu Fanny, w której Baccarat może rozpoznałaby swoją dawną osobistą pokojówkę, która wywiozła ją do domu obłąkanych, płakała na progu sypialni, gdzie drzwi były na wprost otwarte.

Markiza weszła, podeszła dwa kroki ku łóżku i zatrzymała się, niema i blada.

Leżąca na nim chora wodziła wokół błędnymi oczyma, błyszczącymi gorączką. Wpatrywała się w markizę i wydawało się, że jej nie rozpoznaje.

Panią Van-Hop ogarnęło wzruszenie. Podeszła do łóżka z wyciągniętymi rękami.

– To ja, kochana przyjaciółko, to ja... – wyszeptwała.

Pani Malassis ciągle patrzyła na nią, nie odpowiadając.

Markiza usiadła przy łóżku i ujęła chorą za rękę. Ta ręka wydała się rozpalona.

Fanny ciągle płakała.

Wówczas markiza zwróciła się do Venture'a, który jej towarzyszył.

– Co się tu stało, na Boga? – zapytała.

– Och, to cała historia! – odparł smutnym głosem Venture, jakby się wahając.

– Mów...! – zawołała nakazującym tonem markiza.

– Pani przed dwiema godzinami była zupełnie zdrowa – odpowiedział Venture. – Wyszła przed południem, po śniadaniu, a potem wróciła.

– Co dalej? – pytała markiza niecierpliwie.

– Usiadła tu... przed kominkiem – kontynuował Venture – i sądzę, że chciała wziąć książkę, tę, którą tam pani widzi, gdy przyniosłem jej list przysłany miejską pocztą. Wzięła ten list, a ja zauważyłem, że była mocno zmieszana, widocznie rozpoznawszy pismo. Otworzyła go, cała drżąc.

– A potem?

– Potem przeczytała pierwsze linijki i krzyknęła. Jednocześnie Fanny i ja, ponieważ znajdowaliśmy się tu oboje, zobaczyliśmy, jak się obsuwa na podłogę. Krzyknęła powtórnie, lecz słabiej, wymówiła pani nazwisko, co nasunęło nam myśl, aby panią powiadomić, i zemdląca.

– Od kogo pochodził ten list?

– Nie wiem.

– Gdzie on jest?

– Pani wrzuciła go w ogień.

– Co dalej? – pytała żywo markiza.

– Fanny straciła głowę. Ja pobiegłem do odźwiernego i posłałem go po doktora.

– Był doktor?

– Tak, pani.

– Dlaczego odjechał?

– Ponieważ wezwany został do umierającego, jak nam powiedział, ale powróci tu o piątej.



Markiza spojrzała na zegar. Brakowało dziesięć minut do piątej.

– Co doktor powiedział? Co nakazał robić?

– Szybko puścił pani krew i kazał położyć do łóżka. Wcale nie wydawał się uspokojony i twierdził, że było to uderzenie krwi do mózgu i że pani może umrzeć.

– Mój Boże! – zawołała z przerażeniem markiza.

Pani Malassis wciąż patrzyła na nią błędnymi, błyszczącymi oczyma. Była mocno zaczerwieniona, prawie fioletowa, a jej twarz faktycznie potwierdzała wszelkie oznaki udaru.

Od wejścia do pawilonu dał się słyszeć dźwięk dzwonka. Ten dzwonek powiadamiał służbę pani Malassis o przybyciu kogoś obcego.

– Zapewne przyjechał doktor – stwierdził Venture.

Tak rzeczywiście było. W drzwiach ukazał się mały, otyły i łysy mężczyzna w okularach, ubrany na czarno, z białym krawatem, ten sam, który leczył Fernanda Rochera u Turquoise i który w pierwszej części naszej historii ukazał się oczom Baccarat dochodzącej do przytomności.

Mały łysy człowieczek pokłonił się markizie aż do ziemi, podszedł do chorej, z uwagą się jej przypatrując.

– Sytuacja nader poważna... – wymruczał, badając puls.

Nawiasem mówiąc, należy zauważyć, że lekarze niezmiennie badają puls chorych. Dlaczego?

– Panie – rzekła żywo markiza – jestem przyjaciółką pani Malassis, prawie jej siostrą... Zechciej mi wszystko powiedzieć.

Doktor uklonił się markizie, przybrał najbardziej lekarską pozę i odrzekł nosowym głosem:

– Przed dwiema godzinami wychodziłem do umierającego chorego, gdy przysłano po mnie, prosząc, abym tu przyszedł. Było mi po drodze, wstąpiłem i znalazłem tę panią leżącą w omdleniu na podłodze. Na pierwszy rzut oka odgadłem, że została dotknięta atakiem gwałtownej apopleksji, wywołanej jakimiś nagłymi i gwałtownymi emocjami...

Lekarz wypowiedział te słowa pedantycznym, jednostajnym głosem, jak uczeń recytujący lekcję.

– Co dalej, co dalej? – zalegała markiza.



– Puściłem krew tej damie – ciągnął lisy doktor – i mogłem stwierdzić, że gdyby przypadkiem nie odnaleziono mnie w domu, gdyby żaden z moich kolegów nie przybył na czas, byłoby po wszystkim.

Markiza zadrżała.

– Pięć minut dłużej – kończył doktor – a ta pani już by nie żyła.

– Ależ przynajmniej teraz niebezpieczeństwo minęło, prawda?

– Jeszcze nie...

– Mój Boże!

– Mam nadzieję że ją uratujemy – mówił dalej doktor – ale nie śmiałybym jednak ręczyć za jej umysł... Spójrz, pani, na ten uporczywy błędny wzrok... Obawiam się, czy nie doznała silnego wzruszenia, które wstrząsa ją całym jestestwem człowieka... Mówiono mi o jakimś liście...

– Spaliła go, panie...

– Wie pani coś o jakimś jej zmartwieniu?

– Nie wiem.

– Może jakaś sprawa miłosna?

– Nie, panie... – wyszeptwała, trochę zmieszana tym zapytaniem.

– Noc wszystko rozstrzygnie – stwierdził doktor, idąc do stołu, na którym stał przygotowany napój leczniczy. – Jeżeli zmieni się to obłąkane spojrzenie, jeśli zmniejszy się gorączka, jeżeli chora odzyska mowę i w końcu spokojnie zaśnie, nie musimy się niczego obawiać.

– Spędzę noc tu przy niej – powiedziała spontanicznie markiza i siadłszy przy biurku, napisała pospiesznie taki liścik:

Mój przyjacielu!

Jestem u pani Malassis. Biedna kobieta jest bardzo chora, tak chora, że uważam, iż nie mogę jej opuścić.

Twoja Pepa

Złożyła bilecik, zapieczętowała go i powiedziała do Venture'a:

– Każ to doręczyć mojemu mężowi. Ja tu pozostanę.

– Do licha! – mruknął Venture, wychodząc, by wykonać polecenie markizy. – Wszystko idzie jak po sznurku, każdy wspaniale gra swoją rolę. Doktor jest wzorem doktorów, wdowa apoplektyczką w najwyższym stopniu, a co do mnie, to wydaje mi się, że służę wiernie panu Cherubinowi.



W tym czasie fałszywy doktor rozmawiał z markizą o chorobie i tak cudownie odgrywał swą rolę, że po dziesięciu minutach pozostawił panią Van-Hop przekonaną, że stan pani Malassis jest poważny i choć na jedną minutę nie można pozostawić jej samej.

W tym samym czasie, kiedy na zegarze wybijała szósta, Venture, jak dobrze wychowany intendent, przyniósł pięknej pielęgniarkę rosół, potrawkę z drobiu i kilka drobnych łakoci, wszystko położywszy na małym stoliczku, który przysunął do niej.

– Ponieważ pani markiza zamierza spędzić tu noc, pozwoliłem sobie przygotować dla niej obiad.

Markiza podziękowała mu poruszeniem głowy, przetknęła kilka łyżek rosółu, a innych potraw zupełnie nie tknęła. Zbyt była wzruszona, by myśleć o jedzeniu.

Tak upłynęły dwie godziny...

Pani Van-Hop, nie opuszczając wezgięcia łóżka przyjaciółki, wkrótce zauważyła, że spojrzenie chorej stopniowo łagodniało, potem usłyszała wybiegające z jej ściśniętego gardła kilka niezrozumiałych słów, które oznajmiały zwrot ku polepszeniu.

Pani Malassis cudownie potrafiła udawać chorą. Wydawało się, że w pewnym momencie rozpoznaje markizę, a gdy ta trzymała jej rękę w swej dłoni, ścisła ją czule. Serce szlachetnej kobiety zadrżało z radości. Pomyślała, że chora jest uratowana.

Wkrótce wdowa odwróciła się twarzą ku ścianie, przymknęła oczy i można było sądzić, że zasnęła.

Wówczas pani Van-Hop odesłała służbę, to znaczy Venture'a i Fanny, oznajmiając im, że będzie czuwała przy chorej i jeśli będzie potrzebowała któreś z nich, to zadzwoni.

Venture i Fanny spełnili jej życzenie i wyszli.

Kilka chwil później pani Van-Hop usłyszała spokojny, równy oddech chorej, co ją przekonywało, iż ta zasnęła. Podniósłszy się cicho, wzięła książkę z etażerki i usiadła przed kominkiem. Było to około dziesiątej wieczorem.

Głębokie milczenie zapanowało w sypialni, w pawilonie i w ogrodzie, który go otaczał. Można było sądzić, że znajdowano się na jakiejś prowincji, na wsi, gdzie sygnał do gaszenia świateł rozlega się o dziewiątej. Ta cisza i osamotnienie wkrótce wywarły dziwny wpływ na markizie.



Biedna kobieta, jak długo wokół niej był hałas i ruch, a przed oczami miała tę kobietę, jaka zdawała się tak bardzo poważnie cierpieć, całkiem zapomniała o sobie.

Gdy jednak pani Malassis wreszcie zasnęła, służący odeszli, markiza zaczęła rozmyślać. Przypomniała sobie, że o kilkanaście kroków stąd, po drugiej stronie ogrodu, znajdował się ten człowiek, którego kochała w milczeniu i skrytości swego serca, dla którego tyle razy śmiertelnie cierpiała podczas nocy poprzedzającej pojedynek.

Ten mężczyzna zapewne znajdował się w swoim mieszkaniu.

Na tę myśl wzdrygnęła się; ogarnęła ją ciekawość, jakiej na próżno starała się przeciwstawić. Wiedziała, że Cherubin mieszkał na trzecim piętrze w domu, którego okna wychodziły na ogród. Pani Malassis powiadomiła ją w poprzednich dniach o tych szczegółach, o jakie cnotliwa kobieta nigdy nie ośmieliłaby się zapytać.

Markiza odczuwała więc pokusę zobaczenia, czy okna Cherubina były rozświetlone. Podniosła się i podeszła do okna. Venture zapomniał spuścić żaluzje, więc pani Van-Hop mogła swobodnie popatrzeć na zewnątrz.

Noc była czarna, ogród okrywały ciemności, a dom na froncie, w którym pani Van-Hop szukała wskazówki obecności Cherubina, wydał się jej jak masa bardziej czarna i ciemna niż sklepienie zachmurzonego nieba, mimo że w oknach na parterze i na wyższych piętrach tu i ówdzie błyszcząły światła.

Jedynie trzecie piętro pogrążone było w ciemności.

„Nie ma go w domu” – pomyślała i jednocześnie na ten widok jakiś tajemny ból, jakaś tajemna przykrość ścisnęła jej serce.

Był nieobecny. To znaczyło, że ten człowiek, przed kilkoma dniami umierający, o którego życie tak się obawiała i który, jak sądziła, umrze, wymawiając jej imię, ten człowiek tak już wyzdrowiał, że mógł wychodzić pieszo ze swym przeciwnikiem, spędzać wieczory w jakimś klubie, może pośród młodych szaleńców i kobiet lekkich obyczajów.

„Ja miałabym kochać takiego człowieka!” – pomyślała markiza, nie słuchając uderzeń swego serca, które zdawały się ją ostrzegać, że chwila niebezpieczeństwa jeszcze nie przeminęła.

Nagle na trzecim piętrze ukazała się świetlna plamka. Okno rozjaśniło się światłem.



Markizę ogarnęło nagle i gwałtowne wzruszenie. Niewątpliwie pan de Verny wrócił do siebie.

I ta kobieta, przed chwilą naiwnie zaprzeczająca, że wcale nie kocha uwodziciela, ta biedna dusza kłamiąca sama przed sobą i sądząca, że jest uleczona, jak niektórzy z chorych w przeddzień swej śmierci, wlepiła badawcze spojrzenie w ten błyszczący punkt świetlny, który dla niej był jak Gwiazda Polarna dla żeglarza tuż przed rozbitciem. Cała jej żywotna siła skupiła się teraz w jej spojrzeniu.

Tymczasem świetlna plamka zmieniała położenie. Zniknęła z jednego okna, a ukazała się w drugim. Oko markizy uparcie ją śledziło.

Tymczasem mógł to jednak nie być Cherubin, ale po prostu jego służący oczekujący na swego pana...

Serce markizy tak mocno biło, że nie mogła powstrzymać się od uczynienia w myślach dziwnej uwagi.

Człowiek, którego kochała, znajdował się tylko kilka kroków od niej. Gdyby coś mówił, a jego okno byłoby otwarte, dźwięk jego głosu doszedłby do niej poprzez drzewa stojące w cichym ogrodzie. A jednak na zawsze byli oni ze sobą rozdzieleni! Między nią a nim był cały świat streszczający się w jednym słowie: obowiązek. Mogło to doprowadzić do obłędu.

Jak długo stała ze wzrokiem wlepionym w to okno, usiłując odgadnąć, co robił, jakiemu zajęciu się oddawał, o czym rozmyślał? Nie umiała tego powiedzieć.

Nagle światło znowu zaczęło się poruszać, znikając z jednego okna, aby ukazać się w drugim, po czym nagle zgasło. Całe trzecie piętro znowu pograżyło się w ciemności.

Czyżby Cherubin wyszedł?

Markiza postawiła sobie to pytanie, zresztą łatwe do rozstrzygnięcia, ponieważ główna brama domu każdorazowo przy otwieraniu i zamykaniu wydawała głuchy i głośny łoskot dochodzący aż do pawilonu.

Pani Van-Hop oczekiwała z niepokojem przez kilka minut, ale brama nawet nie zaskrzypiała.

Nagle, och! Serce markizy zaczęło tak silnie bić, jak gdyby była niesiona nad brzeg przepaści przez ognistego konia. Nagle wydało się jej, że w ogrodzie poruszył się jakiś cień, że ten cień kierował się w stronę pawilonu... Następnie usłyszała szelest suchych liści, którymi zimowe



wiatry usłały alejki, wydające dźwięki pod przyspieszonym, lekkim stąpieniem.

Czyżby był to Cherubin, który śmiał się tutaj zbliżyć?

Myśl, która замуrowała markizę, była jednak szalenie lekkomyślna.

Jak można było faktycznie przypuszczać, że około dziesiątej czy jedenastej w nocy młody człowiek mógłby złożyć wizytę kobiecie, której wdowieństwo czyniło jej sytuację jeszcze bardziej drażliwą?

Przecież markiza nie mogła sądzić, że to z jej powodu Cherubin skradał się do pawilonu. Skąd mógłby wiedzieć, że tu się znajduje?

Ta ostatnia hipoteza stała się dla niej niedopuszczalna. Markizę ogarnął okropny niepokój... niepokój, jakiego nie umiała sobie wytłumaczyć, a który nie był niczym innym, jak tylko uczuciem zazdrości... Dlaczego Cherubin przychodził w nocy do pani Malassis?

Przypomniała sobie wówczas straszne i bolesne wzburzenie swej przyjaciółki w dniu, w którym został on ranny... Serce jej, które przed chwilą łomotało w jej piersi, nagle bić przestało, jak gdyby nagle przeszło od życia do śmierci.

Cień ciągle się zbliżał i dotarł na próg pawilonu.

Markiza miała nadzieję, że się zatrzyma, jednak drzwi były na pół uchylone, jak gdyby na schadzkę, i kobieta usłyszała na schodach przygłuszone kroki, które przed chwilą powodowały skrzypienie piasku i szelest suchych liści w ogrodzie.

Pani Van-Hop myślała, że za chwilę umrze.



Rozdział LIV

Wyznanie



Kroki ucichły przy drzwiach sypialni, po czym dwukrotnie dyskretnie zapukano w drzwi.

Markiza, pozbawiona głosu i oddechu, nie odpowiedziała. Miała nawet nadzieję, że ten śmiały odwiedzający, wchodząc do tego domu, który wydawał się pusty, ponieważ słudzy się rozeszli nie wiadomo gdzie, cofnie się przed tą znamioną ciszą i odejdzie. Drzwi jednak się otwały...

Wszedł jakiś mężczyzna... Był to Cherubin.

Zatrzymał się w progu, niezdecydowany, a potem dostrzegł stojącą nieruchomo markizę, bladą jak posąg, i wykonał gest zaskoczenia. Wydawał się on jednak od dawna wyuczony i pomimo emocji markiza nie dała się oszukać...

– Pani... – wyjąknął młodzieniec, kłaniając się.

Pani Van-Hop skinęła głową w milczeniu.

– Przebacz mi, pani – rzekł, ośmielając się stopniowo – i pozwól wytłumaczyć sobie moją obecność, która musi wydawać się pani co najmniej niezwykłą.

Ponieważ osłupiała markiza nic nie odpowiedziała, pan Oscar de Verny mówił dalej:

– Wróciłem przed chwilą do siebie i dowiedziałem się, że pani Mallassis jest ciężko chora. Była o mnie tak troskliwa, że dwa razy dziennie podczas mojej rekonwalescencji przysyłała służącą, zapytując o moje zdrowie...

Cherubin na chwilę przerwał, popatrzył na markizę i zadrżał z radości, widząc ją tak zmieszaną i bladą.

Pani Van-Hop ciągle trwała w nieruchomej pozie i milczała.

Cherubin znowu zaczął mówić:

– Ośmieliłem się więc, pani, mimo późnej pory, przybyć tu. Sądzę, że znajdę któregoś ze służących... Drzwi były otwarte, schody

puste, dostrzegłem światło w tym pokoju, a ponieważ po zastukaniu nie otrzymałem żadnej odpowiedzi...

Młody człowiek nie dokończył zdania.

Pani Van-Hop, opanowawszy wreszcie zmieszanie i emocje, poszła do łóżka chorej i w końcu odzyskała mowę.

- Dziękuję panu za troskliwość - powiedziała. - Dziękuję w imieniu mej biednej przyjaciółki, której stan zdrowia, mimo że bardzo poważny, nie pozbawia nas jednak nadziei. Obecnie, jak pan widzi, zasnęła, a sen, jak pan wie, zawsze jest dobrą wróżbą dla chorych.

Podczas gdy tak mówiła, Cherubin, który nigdy nie zapomniał o czarownicy potędze swego spojrzenia, ciągle patrzył na nią swymi wielkimi oczyma, w których migotały dzikie refleksy.

- Skoro tak jest, jak pani twierdzi, pozwól mi się oddalić... - powiedział, gdy skończyła i zrobił krok ku wyjściu.

Markiza odpowiedziała na te słowa skinieniem głowy w milczeniu.

Cherubin szedł wolno ku drzwiom, ciągle patrząc na markizę i niewątpliwie spodziewając się, że go zatrzyma. Markiza jednak znowu stała się niema i nieruchoma.

Doszedłszy do progu, już położył rękę na klamce, by otworzyć drzwi... Wtedy nagle, jakby posłuchał jakiejś myśli, która przyszła mu do głowy, zamknął je i odwrócił się do markizy.

W jego oczach błyszczał rodzaj gorączkowej egzaltacji. Powrócił do markizy i rzekł do niej:

- Nie, pani, nie odejdę... Bez złożenia pani wyznania!

- Wyznania? - wyjąkała ze zdziwieniem pomieszanym z trwogą.

- Wyznania mej winy, pani.

Markiza popatrzyła na niego i znowu ogarnęły ją wielkie emocje.

- Pani - mówił powoli Cherubin niepewnym głosem, w którym jednak slychać było stanowczość - przed chwilą okłamałem panią...

- Pan... Pan mnie okłamał...? - wyjąknęła markiza, której zmieszanie wyraźnie się powiększyło.

Opadła na fotel stojący przy łóżku. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, lub może szukała dla siebie schronienia przy tej kobiecie, którą uważała za przyjaciółkę, przeciw temu uwodzicielowi, pod którego spojrzeniem już zaczęła mocno drżeć? Tego sama nie wiedziała...

- Tak - powtórzył Cherubin, który wydawał się śmielszy w swym postanowieniu i którego głos się wzmacnił. - Tak, skłamałem pani przed chwilą.

Powiedziawszy to, ponownie zamilkł.

Z panią Van-Hop stało się wówczas to, co prawie zawsze się zdarza kobietom w ekstremalnych chwilach życia. Znalazła nieoczekiwaną siłę nawet we własnej słabości. Kobieta światowa, przyzwyczajona ukrywać na dnie duszy doznane wrażenia, przyszła na pomoc biednej kobiecie owładniętej namiętnością.

Uśmiechnąwszy się lekko, wzrok przedtem spuszczoney ku ziemi, utkwiała w Cherubinie i odpowiedziała mu spokojnie, prawie wesoło:

- Nie wiem, jakiego rodzaju kłamstwo mógł mi pan przedstawić, zapewniam jednak, że jestem pobłażliwa i umiem przebaczać.

Wówczas gestem pełnym dostojenstwa, w którym wyczuwało się kobietę nawykłą do brania, królową mody, której salony odwiedzał arystokratyczny Paryż, wskazała mu krzesło blisko siebie, mówiąc:

- Zechce pan usiąść, jestem gotowa wysłuchać pańskiego wyznania.

Cherubin nie ruszył się z miejsca. Jego twarz zachmurzyła się i nagle zgasł ogień spojrzenia. Obecnie jego twarz wyrażała jedynie bolesny smutek.

- Pani... - zaczął po chwili - przed godziną wróciwszy do siebie, dowiedziałem się, jak już pani mówiłem, o wypadku, jaki niespodziewanie przydarzył się pani Malassis, lecz sprowadził mnie tutaj znacznie ważniejszy powód niż życzenie zasięgnięcia wiadomości...

Po tych słowach markiza poczuła się znowu zmieszana.

- Ten powód - ciągnął Cherubin - skłonił mnie do przekupienia sługi pani Malassis, którego zastałem u dozorczy i który mnie powiadomił o pani obecności.

- Panie... - wyjąkała markiza.

- Och! - rzekł Cherubin ze smutkiem w głosie. - Racz mnie pani wysłuchać do końca.

Pani Van-Hop uczyniła gest przyzwolenia i rezygnacji.

- Zapewne już nigdy nie spotkam pani ani o takiej porze, ani w podobnych okolicznościach, w rozmowie sama na sam, a jutro nie mógłbym już uczynić tego wyznania... Wyznania mojego bólu, moich wyrzutów sumienia i mojej występnej śmiałości... - wyszeptał z nagłym wzruszeniem.



Ponieważ milczała, cierpiąc katusze, ten Sługa Serc mówił dalej:
– Za tydzień, pani, na zawsze opuszczam Paryż, Francję i Europę.
– Jak to... Odjeżdża pan? – zapytała markiza z ukrytym drżeniem.
– Urodziłem się na pełnym morzu, pod równikiem, jestem synem kolumbijskiego korsarza. Mam tylko jedynie europejskie nazwisko, pozostawione mi przez człowieka, który mnie adoptował. Z pozoru jestem człowiekiem cywilizowanym, lecz w rzeczywistości dzikim dziecięciem gorącego nieba, gdzie wszystko wre, goreje, jest wieczne. Należę do ludzi, którzy raz pokochawszy, umierają!

– Panie...

– Och! – zawołał z uniesieniem Cherubin, jak gdyby usprawiedliwiając swoją opinię dzikiego, którą sam rozpowszechniał. – Niech mnie pani posłucha jeszcze przez kilka minut...

Objął markizę swym magnetycznym wzrokiem i zdawał się ją powalać.

– Jak powiedziałem, jestem dzikusiem. Przed dziesięcioma laty przybyłem do Paryża z zamiarem, z nadzieją stania się Europejczykiem, paryżaninem z obyczajów, wykształcenia, a mimo to nie mogłem przezwyciężyć mojej pierwotnej natury. Pewnego dnia na drodze mojego życia stanęła kobieta. Pokochałem ją gorąco, namiętnie, jak kocha się między zwrotnikami; gotów byłem przelać dla niej ostatnią kroplę krwi mojej, gotów na jedno jej skinienie podbić świat i znowu stać się piratem... Niestety! Pomiędzy mną a tą kobietą na zawsze będzie istniała przepaść... Ta przepaść to jej cnota... Ona nie jest wolna...

Markiza słuchała, zdyszana, tego urywanego głosu zgłuszonego bólem, a mimo to pełnego niewysłowionej tkliwości. Drżała pod spojrzeniem tego człowieka, przedstawiającego jej w płomiennych słowach swą miłość, mimo że nie wyjawił dotąd przedmiotu swego uwielbienia. Chciałaby jak ptak hipnotyzowany przez gada móc złamać ten czar i uciec... Czar jednak był zbyt potężny i markiza pozostała nieruchoma, pozbawiona głosu, pod tym wzrokiem Cherubina...

Wtedy de Verny zrobił krok ku niej, ukląkł i rzekł do niej:

– Zapewne nigdy już pani nie zobacze, nigdy o mnie już więcej pani nie usłyszysz, ale jeżeli pośród swojego zanego i szczęśliwego życia ogarnie panią smutek, wspomnij, że tam, za morzami, żyje biedny dziki, którego całe życie należy do ciebie na jeden pani znak. Jeśli ta myśl nie wydaje ci się obrażą, to przypomnij sobie, że ten

człowiek, którego widziałś tu na kolanach, prosił cię o jedyną, najwyższą łaskę, o pozwolenie dotknięcia rąbka twojej sukni...

Podczas tej całej sceny Cherubin doskonale grał swą rolę jak komediant. Jego gesty były umiarkowane, głos sympatyczny i wibrujący.

Pani Van-Hop wysłuchiwała go do końca, ale jej twarz nie zdradzała bólu, jakiego doznawała i Cherubin pomylił się w swoich oczekiwaniach, sądząc, że poda mu rękę i rozkaże wstać.

Ona patrzyła na niego obojętnym wzrokiem.

Wówczas powoli wstał z klęczek i powiedział smutnym głosem:

– Żegnam panią.

Anioł osłaniający swym skrzydłem markizę nie opuścił jej w tym ważnym momencie. Nie było wątpliwości, że gdyby tylko usłuchiwała swego serca, wyciągnęłaby do niego rękę, mówiąc: „Niech pan wstanie, pańskie wyznanie mnie nie obraża, a moje wspomnienie wszędzie będzie panu towarzyszyć”. Posłuchiwała jednak poważnego i surowego głosu obowiązku, a ten obowiązek nakazywał jej zachować milczenie. Patrzyła, jak Cherubin odchodzi, kieruje się ku drzwiom, jak ostatni raz kłania się jej w progu, jak znika na ciemnych schodach, dusząc głębokie westchnienie.

Pani Van-Hop okazała się godną miłości swego małżonka, a pani Malassis, która nie uroniła żadnego słowa z tej rozmowy, udawała że śpi głęboko.

Powróćmy do Baccarat.

Podczas gdy markiza Van-Hop jechała do pani Malassis, sądząc, że ta jest umierająca, i u której tam nagle zobaczyła ukazującego się przed nią śmiałego Cherubina, siostra Cerise była u hrabiego Artoffa.

Przypomnijmy sobie, że pałac młodego Rosjanina znajdował się naprzeciw domu o numerze 40 przy ulicy de la Pépinière i że z wysokości jego belwederu Baccarat mogła zobaczyć ogród i pawilon zajmowany przez panią Malassis. Przypomnijmy sobie również, że młoda kobieta napisała do swej pokojówki, nakazując jej przywieźć ze sobą małą Żydówkę.

Podczas gdy czekano na dziecko, hrabia z Baccarat zasiedli do stołu i obiadowali we dwoje, jak para dobrych znajomych. Między nimi panował już pewien rodzaj zażyłości. Baccarat odgadła szlachetną



i entuzjastyczną naturę młodego hrabiego, a on zrozumiał, że była ona prawdziwym aniołem i że skrucza uczyniła z niej najzacniejszą i najcnotliwszą z kobiet.

- Moja droga przyjaciółko - powiedział hrabia, siadając do stołu - czy nie powiedziałaś mi, że dziś wieczorem zamierzasz ułożyć się w moim belwederze?

- Tak, przyjacielu.

- Dlaczego?

Na ustach Baccarat pojawił się tajemniczy uśmiech.

- Mój drogi - odpowiedziała - czy wczoraj nie przyrzekłeś, że o nic nie będziesz mnie wypytywał?

- To prawda.

- Pozwól mi więc działać według woli i dotrzymaj obietnicy. Mój sekret nie należy do mnie - odparła Baccarat i zaczęła mówić o czymś innym, a hrabia uszanował jej tajemnicę.

Przybyła mała Żydówka. Spojrzawszy na nią, hrabia nie powstrzymał gestu zaskoczenia.

Baccarat położyła palec na jego ustach.

- Tss! - powiedziała. - To też jest tajemnica.

Hrabia pogładził palcami piękne loki dziewczynki, ofiarując jej różne łakocie z deseru.

Kiedy obiad dobiegł końca, Baccarat wstała.

- Przyjacielu - powiedziała do hrabiego - zechcesz nas zaprowadzić, mnie i dziecko, do belwederu w ogrodzie?

Hrabia wziął latarnię, chwycił dziecko za rękę i dał znak Baccarat, by szła za nimi.

Pawilon, nad którym wznosił się belweder, umieszczony na samym końcu ogrodu, był połączony z pałacem długą oszkloną galerią, stanowiącą jakby cieplarnię. Właśnie tą galerią hrabia Artoff prowadził Baccarat.

Przybywszy do drzwi pawilonu, Baccarat wzięła lampę z rąk przewodnika.

- Dziękuję ci - powiedziała.

- Nie chcesz, bym ci towarzyszył? - zapytał młody Rosjanin.

- Nie.

- Gdzie mam na was czekać?



– Gdzie zechcesz. W ogrodzie, jeśli nie obawiasz się chłodu nocy, w swoim salonie, gdybyś się tego obawiał.

– Przepraszam – rzekł hrabia – ale pozwól mi zadać drobne pytanie.

– Mów.

– Długo będę musiał czekać?

– Tego nie wiem.

Pożegnawszy go poruszeniem głowy, weszła z małą Żydówką do pawilonu i zamknęła za sobą drzwi.

– Dziwna kobieta! – wyszeptał hrabia, odchodząc.

Prowadząc małą za rękę, Baccarat wspięła się do belwederu. Znajdowała się tam obszerna oszklona sala z żelaznymi, misternie ozdobionymi ogrodowymi siedzeniami.

Kiedy Baccarat weszła do środka, posadziła dziecko na jednej z ławek, zdmuchnęła lampę i obie pozostawały w półmroku, ponieważ noc była dość jasna.

Wówczas Baccarat położyła dłoń na czole Lei, wcześniej obracając ławkę z małą Żydówką w kierunku ogrodu przy domu o numerze 40.

– Śpij! – rozkazała.

Podczas gdy dziecko na próżno walczyło z pierwszymi oznakami magnetycznego snu, młoda kobieta szeptała:

– Bardzo chciałabym wiedzieć, czy on jest u siebie... I to, co dzieje się w tym pawilonie, w którym już pojawiła się markiza.

Młody hrabia, szanując tajemnicę, jaką otaczała się siostra Cerise, przechadzał się długo po ogrodzie, paląc cygaro i rozmyślając. Dla niego Baccarat obecnie nie była zwykłą kobietą, lecz jakąś tajemniczą istotą, bez wątplenia obciążoną jakąś fatalną misją, dążącą prosto do wyznaczonego celu, nie zważając na znajdujące się na jej drodze przeszkody, lekceważąc spojrzenia i uwagi tłumów.

Hrabia z tego wszystkiego wysnuł cały ponury romans dotyczący Baccarat. Ta kobieta zamykająca się nocą w belwederze wraz z dzieckiem, by oddawać się jakimś tajemniczemu naradom, której zimny uśmiech przenikał do głębi serca i wywoływał tajemny strach, przedstawiała mu się jako jakiś męczyński duch, który zwyciężony



w pierwszej walce, podążał w ukryciu i bez wytchnienia do celu swej strasznej zemsty.

Przechadzał się długo, z oczyma utkwionymi w belweder, gdzie zgasty wszelkie światła, z którego nie dobiegał najmniejszy szmer, zapytując sam siebie, co mogła tam robić Baccarat, i nie znajdował na to odpowiedzi.

Wreszcie może po upływie godziny ponownie otwały się drzwi pawilonu.

Hrabia podbiegł bliżej i zobaczył ukazującą się w nich Baccarat.

Młoda kobieta ciągle trzymała dziewczynkę za rękę, wcześniej zapaliwszy lampę. Przy blasku tej lampy hrabia zdołał spostrzec, że była bardzo blada, a jej drżące nozdrza wskazywały na jakies silne wzburzenie.

- Przyjacielu - odezwała się - zechcesz oddać do mojej dyspozycji swoje coupé?

Hrabia skłonił się i wziął z jej ręki lampę.

- Opuszczasz mnie? - zapytał.

- Tak, lecz przybądź do mnie jutro, będę na ciebie czekała - rzekła z uśmiechem, a pochyliwszy się ku niemu, dodała cicho: - Wracam do siebie, gdyż tak trzeba, ponieważ sądzę, że ktoś złoży mi wizytę.

- Wizytę...?

- Tak.

- O dziesiątej wieczorem?

- To godzina uwodzicieli.

A gdy patrzył na nią, nic nie rozumiejąc, dodała:

- Przecież wiesz, że jest człowiek, z którym się założyłeś?

- Cherubin!

- Tak, za godzinę będzie u mnie.

- Skąd o tym wiesz?

Ponownie się uśmiechnęła.

- Jestem istotą nadprzyrodzoną - odparła Baccarat. - Czasami wypytyuję przyszłość... Zgłębiam najgłębsze ciemności... Żegnaj.

Wsiadła do powozu i odjechała na ulicę Moncey.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!

